Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Piątek 23 Listopada Nr 33. 1838 Roku.

TATARZY NA WESELU.

HISTORYJKA.

Czémżeto są nasze dzisiejsze wesela w miarę dawnych? — Śmiésznémi tylko parodyami. Nieprzywiązujem już do nich téj wagi, jaką miały przed laty, ani tego sakramentalnego znaczenia, ani tak wielkiéj pamiątki. Dawniéj raz się człek rodził, raz żenił, raz umiérał, ślub był węzłem nierozerwanym, to téż wesele wiodło za sobą obrzęd tak wielki i tak uroczysty jak urodziny lub śmierć. Prawda, że dawniéj tylko dla formy mówiono na weselu o sercu, lecz wyobrażenia religijne, przekonanie o obowiązkach, sposób życia, zapewniały pokój, zgodę i to ciche, a stałe przywiązanie, które jeszcze widzim czasem w parach nierozłączonych staruszków, służących tylko za pośmiewisko ludziom naszego wieku.

Przed kilkuset laty, a jeszcze na dworze wielkich panów, to to były wesela! Samo ich wspomnienie świéciło jak gwiazda w życiu pary pobranéj, do dni ich schyłku. Byłyto gody wesołe, szumne, pyszne, mające swój rytuał rodzimy, niewzruszony i upoważniony odwiecznym zwyczajem, rytuał pełen symbolów, które dziś już tylko u niższych klass ludu pozostały.

Właśnie o jedném s takich wesel dawnych chciałbym wam powiedziéć — Nie, żebym je opisywał, bo któż się od razu całego obrzędu niedomyśla i o racyi, i bankietu, i huku dział, i muzyki i rozczulającego błogosławieństwa starych? — lecz dla jednego godnego w niém pamięci szczegółu.

Książe Konstanty Bazyli Ostrogski, Wojewoda kijowski, Marszałek wołyński, Starosta włodzimiérski, pan sławny ze swych bogactw i pobożności, dziedzic ogromnego księstwa, gotował się sprawić w jednym ze swoich zamków, Dubiéńskim,

wesele Księżnie Beacie Dolskiéj powinowatéj i wychowanicy swojéj, którą wydawał za Księcia Sołomereckiego. Obie te Książęce rodziny, dziś zgasłe i zapomniane, w ówczas jeszcze świéciły i zdawały się obiecywać długie pasmo potomków sławnych. Ciężka ręka losu padła na nie i — zgaśli s tylą innémi!

Wszystko gotowe było do tego uroczystego obrzędu mającego się odbyć na zamku dubiéńskim. Liczny zjazd gości sproszonyh z daleka, krewnych, przyjaciół, sąsiadów, szlachty drobnéj życzliwéj domowi Książąt Ostrogskich zawalał końmi, kolébkami i ciżbą pacholąt, podworce zamkowe. Niektórzy jeszcze cisnęli się i zbiérali z różnych ulic miasta, niedając nawet przyskrzypnąć wrot zamku. Byłto sam ranek dnia weselnego, ranek grudniowy, śniéżysty i ponury, powietrze niosło z sobą wilgoć, wyziéwy ziemi i ciężyło w piersiach. Słońca nawet niewidać było za mglistą oponą chmur jednostajnie szarych; bo natura nigdy się niestosuje do czynności do życzeń, i uczuć ludzi. Rzadko bardzo ulubieńcom losu świéci słońce pogodne w ich dni uroczyste, i to historya między cuda swoje zapisuje. Kurczyli się od zimna przenikliwego słudzy na podworcu i u wrót zamku, pokrzepiając się suto dostarczanym trunkiem. W ich rozmowach znać było i usposobienie do smutku pochodzące od pory i wesołość sztuczną jaką trunek wymusza na biédnych, słabych, głowach ludzkich.

Wszyscy gotowali się do wesela; niebyło kąta gdzieby go znać i czuć niebyło; wszystko się ruszało, kręciło, gadało, stroiło, szykowało, zacząwszy od kuchni pałającéj ogromném ogniskiem, gdzie kuchmistrz spocony chrzypł od krzyku nad cztérma sosami; aż do komnat panny młodéj i pana młodego.

Mężczyzni zebrani, gadali, śmieli się i pokrzepiali śniadaniem, a że niebyło we zwyczaju XVI. wieku u wyższéj klassy, grać w kości albo się od rana upijać, skromny tylko brali posiłek, o wojnie, turniejach i koniach rosprawiając. Książe Sołomerecki, blady, młody, niebieskooki, chudy i cienki mężczyzna, rzadko się do rozmowy wtrącał i spokojnie tylko na wszystko się uśmiéchał. Coraz popra-

wiał na sobie paradnego ubioru na którym guzy brylantowe, i złote błyszczały kutasy, ściskał rękojeść suto kameryzowanéj karabeli, odrzucał wyloty i chodził wzdłuż komnaty. Maleńki jego wymuskany wąsik, poruszał się uśmiéchem, którym odpowiadał na wszystkie pytania.

U progu stał w nieładzie podróżnym zbrojny kozak ukrainiec, z seledcem zwieszonym, zbrojny w koszulę drócianą, szablę, rusznicę, janczarkę, łuk i strzały, z nożem u pasa, z workiem kul, s chustką paradną w wielkie kwiaty, z worem skórzanym na wodę, szabeltasem, nahajką, długim sznurem jedwabnym, prochownicą, i mnóstwem innych drobnostek, składających dawne uzbrojenie kozaka. Mowę miał posępną i zamyśloną; wszyscy go pytali i zaczepiali, a on zwolna, lecz śmiało w swoim rodzinnym języku odpowiadał.

»I jakże,» odezwał się któś s tłumu, «są wieści o Tatarach?« — «Tak jak każdéj zimy, gdy wody staną,» odparł kozak, «gadają o nich i wygadają. Ciągną się gdzie dolinami chyłkiem.» — »Którędy?» — «Kto ich wié! Bóg jeden co tę plagę zsyła. Jak przyjdą będzie się dymić za nimi i mogiłami drogę wysypią. Teraz ryją się gdzieś jak krety, postrzedz ich niémożna. Może się już ciągną złodziéjską doliną.» — «Wieleż ich być może?» — «Jak zawsze, tyle co szarańczy, a więcéj jeszcze koni niż ludzi, bo u nich i konie się biją, gdy u nas ludzie niewszyscy potrafią.» — «Widział ich kto? czy to tylko słuchy zimowe?» — «Do téj pory słuchy tylko, ale kto się boi daleko widzi.» — «U stracha wielkie oczy,» dołożył ksiądz Makary kapelan. «Niech Książe Pan pośle po język.»

I na tém ucięła się rozmowa, a odprawiony ukrainiec, wyszedł. Książe zaś zaraz polecił swoich kilkudziesiąt kozaków wysłać na zwiady dolinami i zwykłym tatarów szlakiem.

Wieść o Tatarach spadła w śród samych przygotowań weselnych, prędko po całym rozniosła się zamku. I znowu od komnaty panny młodéj, aż do kuchni i zwodzonego mostu wszystko ją powtarzało i wszystko drżało od niéj; bo Tatarzy co tyle razy ogniem i mieczem zniszczyli tę ziemię, gorsi byli

dla niéj nad wszystkie plagi zagniéwanego nieba.

Ażeby wesela niezamroczyć, zakazał Książe Wojewoda mówić o tém kobiétom. Zakazał; — byłto właśnie sposób doprowadzenia jak najprędzéj téj wieści od ich uszu. Wszyscy tak mieli tajemnicze miny, tak cicho szeptali, tak rękami machali, tak szable ostrzyli, broń opatrywali i tak umieli pokazać gryzącą ich w głębi tajemnicę, że nareście domyślne z natury przeczuły ją kobiéty. Żony od mężów prędko się pod sekretem dowiedziały o co idzie, potém przyjaciółki przyjaciółkom, jak zaczęły podawać z ust do ust wiadomość tajemną, doszła ona aż do komnaty panny młodéj, gdzie właśnie Księżnie Beacie, czarne jéj długie rospuszczano kosy dawnym zwyczajem sławiańskim.

Niewiém jak wam opisać pannę młodą. Niebyła ona ani piękna, ani wdzięczna, wysoka, blada, czarnobrewa, poważna choć młoda jeszcze, zupełnie się różniła od męża, który przy niéj podobny był przebranéj niewieście. W oczach jéj tylko błyskał niezwykły ogień zapału, męstwa, wytrwania, stałości. Czoło wzniosłe, gładkie, spokojne zdawało się wielkie myśli i piękną duszę pokrywać, usta małe, ściśnione, blade, oszczędne w wyrazy, nieotwiérały się na próżne słowa, a rzadziéj jeszcze na uśmiéch. Cóż mogło łączyć tak różnorodną nowożeńców parę?? Oto — wola krewnych. W ich sercach nic się niedziało, nic niebiło, nic niewrzało, żadna namiętność, żaden pociąg. Ich ręce niespotkały się i niezadrżały przed związaniem u ołtarza; byli sobie obojętni, ale szli do tego związku spokojnie, bo niémieli trującéj przeszłości przyszłości, ani wstrętu do siebie; a ówczesny zwyczaj dawno ich do podobnego połączenia przygotował.

Kiedy panny służebne i drużki gwarzyć około Księżnéj Beaty zaczęły i przestraszone Tatarami zapominały złotych szpilek w aksamitnych poduszkach spoglądając po sobie ze drżeniem, Księżna Beata jakby ocucona z myśli głębokiéj, zapytała najbliższéj podnosząc głowę.

» Cóż się stało?» — «Nic dotąd Księżna Pani,» odpowiedziała zająkając się, «ale mówią — choć Książe Wojewoda mówić o tém zakazał, że Tatarzy idą.» —

» Tu idą?» — « Ah! zapewne tu! Ćma słyszę niezliczona! Ja się tak strasznie boję Tatarów, « szczebiotała daléj. « Takie poczwary ogorzałe, s przypłaszczonémi nosami, ze ślépiami czarnémi, z odstającémi uszami, co się rodzą ślepémi jak szczenięta, żyją końskiém mięsem i w świętą Trójcę niewierzą! o! jak ja się ich boję!» — « A ja nie,» odpowiedziała panna młoda odrzucając włosy, « bo piérwszego coby do mnie śmiał przystąpić pewniebym zadusiła.» — Wszystkie zamilkły i wszystkie uwierzyły. — » Wzięliby nas i odesłali do Seraju Sułtana swojego, ci ohydni poganie,» mówiła drużka, « a choć cuda o nim prawią, niech nas Bóg wcielony od tych roskoszy broni, a naprzód od ich wiary pogańskiéj, wedle któréj, jak Ksiądz Makary powiada, kobiéty niémają duszy.» — « Niémają duszy Panno Stanisławo, « zawołała Księżna, « a czémżeby żyły! prawdziwie pogańska ślepota!» — « I takimto ludziom możemy się dostać w ręce!» szeptały panny. — « Kto? my?» znowu odpowiedziała Księżna, « alboż tu niéma zamku, dział i ludzi, alboż niéma wody w Ikwie i pasa u sukni, żeby się w ich oczach udusić.» — « Ale ich tylu!» — » Nas mało, ale z nami Bóg chrześcijan i walczyć będziem na swoich śmieciskach!» — Na te słowa pełne zapału, a tak niezwyczajne w ustach kobiéty, wszedł Książe Wojewoda. — « Vivat heroino! « zawołał całując ją w czoło, « więc ty śmiała i odważna dziewica nieboisz się Tatarów. Ale z resztą moja Panno jeszcze oni zapewne daleko, bo to są tylko głuche wieści. My tym czasem myślmy o weselu. Jak utną z dział zamkowych na vivat, niech wówczas idą a przyjmiem ich dobrze, na rany Chrystusa!»

W istocie niebardzo było czego się bać w Dubnie, bo na ówczesny sposób wojowania, ta warownia, któréj poźniéj Chmielnicki próbować nawet niechciał zdobycia — była dość mocna. Do koła oblana wodą Ikwy, wielkiémi stawami otoczona, niezbyt wprawdzie wyniosła, ale dla murowanych a wysokich foss niedostępna, mogła się długo bronić wojsku, któreby jéj burzyć działami polowémi niémogło. Trudno także było zapasne zamczysko dostać głodem, a Tatarzy, któ-

rym spieszny był powrót, nigdy tego próbować niémogli.

Tym czasem gdy w zamku rosprawiają o Tatarach, gdy się śnieżyste tumany rozrzedzają i dzién wyjaśniać zaczyna, gdy wysłani po język wyjeżdżają z miasta, strasząc po drodze mieszczan i żydów, w cérkwi zamkowéj stroją ółtarz do ślubu, a w zamku ucztę, która ma ślub poprzedzić, gotują.

Ah, gdzież się podziały te dawne gościnne biesiady, na których pan, sługa jego, koń i pies, jak zesłańcy od Boga przyjmowani byli, czém stało, co było! Dzisiejsi dawnych Sławian potomkowie przyjęli już obce obyczaje, handlarskie, nikczemne, skąpe i zimne — ale szkoda dawnych, bo dawne niebyły europejskie, niebyły tak wykwintne, a szczérsze za to i poczciwsze. Dawniéj egoizm musiał się ukrywać i wstydzić, dziś się z siebie chlubi i wysoko wynosi. Lecz dajmy temu pokój.

(DOKOŃCZENIE NASTĄPI.)

—ooooooo—

CZASY PRZESZŁE.

Laudatur temporis acti.

Za naszych czasów daleko się lepiéj działo, mówił jeszcze wczoraj pewien staruszek. Niegdyś obyczaje były niętak zepsute, mówi nam codzién moralista melancholiczny. — Pewną jest rzeczą, mówi inny, iż kobiéty utraciły piérwszy powab zrzucając z siebie hamulec wstydu. — Bo i to także prawda, odzywa się stara kobiétka, że mężczyzni utracili ten kwiat zalotności, którym się zaszczycali w dawniéjszych czasach. A tak czas teraźniéjszy zawsze błądzi. Ta choroba wychwalania dawnych czasów ze szkodą teraźniéjszego, niejest nowa, bo już Horacyusz z niéj się naśmiéwał, i cóżkolwiekbyśmy czynić chcieli, uléczyć jéj niepotrafimy. — Czyliż ludzie niezawsze byli tém, czém są? — Po wszystkie czasy ich wrodzona niespokojność powstaje na czas teraźniéjszy, a ich próżność w dawnym więcéj smakuje. — W jednakowych okolicznościach, jednakowe przyczyny sprawują jednakowe skutki; mali ludzie robią małe rzeczy, a złe sprawy robią małych ludzi. Natura nieodmiéniła się od przeszło cztérech tysięcy lat, wydaje ona dziś jak dawniéj lékarstwa i trucizny, potwory i bohatérów? — Gdzie to znaleziono, iż my mniéj warci jesteśmy od naszych przod-

ków? zapewne nie w historyi, bo któraźto historya nazywa swoich współczesnych, pokoleniem zepsutém i obłąkaném s toru swoich cnotliwych przodków. — Różne czasy miały różne błędy i różne choroby, summa dobrego i złego zawsze była ta sama. — Nasi ojcowie odmiéniali koléjno: prawda, mody, zwyczaje, przesądy i lékarstwa; ale co do natury? płaczliwy staruszku! myśléć o tém, jest błędem, a mówić, szaleństwem. — Rzeczy, ludzie i świat zawsze są w jednakowym stanie; widziémy je w odmiénnym sposobie, i przez związki jakie mają s teraźniéjszym smakiem, niepomnąc, jakeśmy o nich dawniéj sądzili. Wychodząc z dzieciństwa, wszystko dla nas jest mocném, milém i cudowném; edukacya poprzedza uwagę. Natura zdaje się dla młodości rozwijać, ożywiać i upiękniać. — Powab roskoszy, rodzące się namiętności, dzielność imaginacyi, wszystko pomnaża nasze roskosze i natęża żądzę. — Jakże w téj epoce życia świat jest przyjemnym! jakich użycza łubości! jakie przyobiecuje dobra! — Niestety! ta czarująca scena znika z wiekiem, w którym się stwarza. — Omamienie próżności następuje za omamienie serca. — Interes, duma, zazdrość, idą za czułą przyjaźnią i gorącą miłością. — W bojaźni, nadziei i niepomyślnych jéj skutkach, postrzegamy mięszaninę dobrego i złego; już się w tenczas świat odmiénił, ale jeszcze jest znośnym. Aż też przychodzi starość, a z nią choroby, troski i żale, w tenczas dopiéro wszystko się nam zdaje odmiénném, choć się nie prócz nas nieodmiéniło. — Piérwsza rzecz, mówi la Bruyere, co się przytrafia ludziom, którzy dla przyzwoitości lub przez sytność wyrzekli się roskoszy, jest naganiać ją w innych. — Chcieliby oni, ażeby dobro, które niejest dla nich, niebyło już dla nikogo dobrém. — Tak to przez stosunki zawsze do siebie zwracane, mniemamy, iż porządek, lub nieład około nas panuje. — Stanowiémy o wartości rzeczy i ludzi, podług zawsze mylnego prawidła, ponieważ dajemy się uwodzić zawsze naszym zmysłom lub naszéj próżności. — Jeżeli ogół naszych niesmaków większy jest od ogółu naszych roskoszy, świat jest niezmiernie popsuty; jeśli przeciwnie, wszystko naszym chęciom sprzyjać się zdaje, wpa-

damy w śmiészne najlepsze marzenia. — Zostawmy więc starcom narzékania, a młodym uciechy, nietamujmy biegu rzékom, i powiédzmy: Tak świat idzie.—

PRZESTROGA.

Nietryumfuj dziéwczę z młodu,
Że masz serce z lodu;
Nieprzyganiaj wiosny słońcu,
Aż przy maja końcu.

Zrana róża na gałęzi
W pączku serce więzi;
A w południe przecie snadnie
I motyl w nie wpadnie.

Wtedy pszczoła kwiat całuje,
Kiedy słodycz czuje;
I twe wdzięki, o! dziewczyno!
Z lada rankiem miną.

I na ciebie, bluszczu młody!
Przyjdą niepogody;
Patrz więc wsparcia koło siebie,
Chceszli zbawić ciebie.

Dwie są drogi do zbawienia,
Na tych szukaj cienia;
Miłości powabne pęta,
Albo przyjaźń święta.

Szczéra przyjaźń, moje dziécie!
Rzadką jest na świecie;
Miłość dzieckiem jest piękności,
Więc szukaj miłości.

Ty się śmiejesz, twoje usta
Wdzięczy radość pusta;
Byłożby to z méj, o! bogi!
Niewczesnéj przestrogi?

Swawolnico! niedaruję,
Skarzę, wycałuję;
Jam wierzył w twój głos uroczy,
Niepatrząc w twe oczy. *J. N. J.*

ZAPALONY ARTYSTA.

W galeryi obrazów pewnego miasta w Szwajcaryi, znajduje się obraz wystawiający okropne położenie zgłodniałéj rodziny ostatnie prawie wydającéj tchnienie, przez własnego tejże ojca odmalowany. W chwili bowiém, gdy po długiéj nieobecności w domu, tamże powrócił, został ten zapalony artysta zachwycony wyrazem boleści w twarzach nieszczęśliwéj rodziny, przez jego lekkomyślność, iż zamiast pomyślenia o przyniesieniu jéj ulgi, wziął się do pędzla, i bardzo trafnie uczucia nieszczęśliwych w twarzach ich wyraził. Dzieło to atoli, wzniosłszy już i tak ustaloną wziętość malarza, powszechne przeciw jego charakterowi obudziło zniechęcenie; jakby na przekazanie potomności wspomnienia na tak niegodne uwiecznienie talentu, umieszczono na przeciw tegóż obrazu jego własne wyobrażenie s podpisem: *Holbein*. Rzeczywiście należał on do najsławniéjszych owego czasu malarzy.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.